

Siarhiej Kawalou

CZTERY HISTORIE SALOMEI

Historia romantyczna
z tragikomicznymi wspomnieniami
w dwóch aktach

Przekład Teresy Giedz

Człowiek człowiekowi zwierciadłem.
Przysłowie tureckie

O s o b y:

S a l o m e a R u s i e c k a, lekarka z Nowogródzyny

A i s z a, młoda Turczynka

N e d i m, młody Turek

J a k u b G a l p i r, niemiecki lekarz

J ó z e f P i l s z t y n, austriacki chorąży

A d o n i s, polski szlachcic

Akcja rozgrywa się w Stambule w 1760 r. po narodzeniu Chrystusa.

W sztuce wykorzystane zostały fragmenty pamiętników Salomei Rusieckiej, wiersz Mahmeda Nedima "Tajemną radością przyjdź..." oraz fragmenty białoruskich pieśni lirycznych z XVII-XVIII wieku w przekładzie Haliny Rarot.

AKT PIERWSZY

Scena pierwsza

Stary, zaniedbany dom na obrzeżach Stambułu. W pokoiku, który ukazuje się naszym oczom, widzimy z prawej strony przy biurku lekarzę Salomeę Rusiecką, z lewej zaś strony przy stoliku do gry w karty – jej byłych mężów i kochanka: Jakuba Galpira, Józefa Pilsztyna i Adonisa. Na środku pokoju stoi nie rozpakowany kufer z ubraniami, na drugim planie – szafa z pojemnikami na lekarstwa i kilkoma książkami. Wzdłuż tylnej ściany biegnie głęboka rysa.

Salomea starannie zapisuje coś w notatniku, mężczyźni leniwie grają w karty.

S a l o m e a (*głośno*): Roku pańskiego 1760, gdy porzuciłam dwór Jaśnie Wielmożnego Pana, polskiego posła, wynajęłam sobie w Stambule za niewielką opłatą dom, stary i zaniedbany, w którym ludzie pewnie bali się mieszkać. (*Spogląda na rysę na ścianie*). Lecz ja nie zważałam na rysy na ścianach, bo wybierałam się w podróż do Ziemi Świętej i musiałam oszczędzać pieniądze. (*Po chwili namysłu*). Tutaj, porzucona przez wszystkich, wzięłam się znów za swoje pamiętniki, żeby opowiedzieć światu o swoim dziwnym losie: ileż to razy Fortuna mi sprzyjała i znów przywodziła do rozpacz, ileż razy bywałam w niebezpieczeństwie i z pomocą łaski Bożej udało mi się uratować. (*Zamyśla się*). O swoich przygodach na dworze rosyjskiej carycy Anny Iwanowny, austriackiego cesarza Karola, króla pruskiego Fryderyka, w haremie sułtana tureckiego Mustafy...

P i l s z t y n (*odrywa się od kart*). Wyobrażacie sobie, panowie, ile bzdur będzie w tych pamiętnikach?

G a l p i r. Domyślam się, że i o nas napisze!

A d o n i s. (*aksamitnym głosem*) Myślę, moja droga, że nie wyjawisz mojego prawdziwego imienia?

S a l o m e a (*kontynuuje*). Jak również o swoich niewiernych mężach i okropnym kochanku. Przez nich porzuciłam ojczyznę, przez nich wyrzekłam się miłości dzieci, zaufania przyjaciół i jestem zmuszona żyć samotnie w obcym kraju, by nie znosić krzywd i pogardy w domu!

P i l s z t y n (*do kompanów*). A nie mówiłem, panowie!

S a l o m e a (*przysłuchuje się*) Co to za hałas? Odkłada pióro i wyjmuje z szuflady dwa pistolety.

Słychać czyjeś ciche kroki. Nagle w tylnej ścianie otwiera się tajemne przejście i pojawia się Aisza. Dziewczyna ma na oczach ładną ciemną opaskę, jak gdyby bawiła się z kimś w ciuciubabkę. Dziewczyna ostrożnie idzie na

środek pokoju. Salomea ze zdziwieniem obserwuje młodą Turczynkę, trzymając w rękach pistolety.

A i s z a (*potyka się i pada na kufer*) O Allachu, co to?

Salomea cichutko kładzie pistolety na stół, ale dziewczyna natychmiast reaguje na ledwie słyszalny odgłos.

A i s z a. Kto tu jest?

S a l o m e a (*spokojnie*). Gospodyni. Moja droga, co ty robisz w moim domu?

A i s z a (*zmieszana*). W twoim domu? Wybacz mi, proszę, nieznajoma pani, nie wiedziałam, że ktoś tu zamieszkał. (*Chce wrócić tam, skąd przyszła*).

S a l o m e a. Poczekaj, dziewczyno! Wy tłumacz, skąd się wzięłaś. Czyżby do mojego domu mógł wejść każdy wprost przez ścianę?

A i s z a. Nie każdy. Tylko ja jedna znam tajemne przejście.

S a l o m e a. Skąd je znasz?

A i s z a. Mieszkam w sąsiednim domu. Kiedyś ten dom należał również do naszej rodziny. Mój ojciec, Gajwaz-pasza, bał się gniewu sułtana i chciał mieć tajemne wyjście na wszelki wypadek. Po śmierci ojca w naszym domu zamieszkał jego brat Ali, i ten dom zaczął wynajmować różnym ludziom. Nie mówiłam wujowi o tajemnym przejściu. Proszę cię, pani, nie wyjawiaj mojej tajemnicy! Kiedy uciekniesz z tego przeklętego miejsca, znów będę mogła przychodzić tu na spacer.

S a l o m e a. Dlaczego myślisz, że stąd ucieknę?

A i s z a. Czyżbyś nie słyszała o mieszkających tu zjawach? Oczywiście, mój wuj nie uprzedził cię, cudzoziemki... Kiedyś wynajął dom dwóm janczarom, którzy okazali się rozbójnikami. Wabili oni tutaj swoje ofiary, zabijali, zabierali pieniądze i ubrania, a ciała zakopywali na podwórzu.

S a l o m e a. Cóż to za bajki opowiadasz?

A i s z a. Przysięgam na Allacha! Bandytów wykryto i obcięto im głowy, ale po tej historii dom zyskał złą sławę i nie było już chętnych, by go wynająć. Ludzie mówią, że nocą spacerują tu zjawy zamordowanych.

S a l o m e a. Nie boję się obcych zjaw. (*Uśmiecha się smutno*). Wożę ze sobą swoje własne.

Przy tych słowach Salomei panowie grający w karty wstają od stołu i kłaniają się wyniośle.

A i s z a (*niepewnie*). Dom jest bardzo zaniedbany, w każdej chwili może zawalić się dach.

S a l o m e a (*ironicznie*). Właśnie dlatego lubisz tu spacerować?

A i s z a. To jedyne miejsce, gdzie mogę wyjść bez pozwolenia wuja.

S a l o m e a (*wstaje zza biurka i podchodzi do Aiszy*). Jak się nazywasz?

A i s z a. Aisza, a ty, pani?

S a l o m e a. Salomea. Dlaczego masz na oczach opaskę, Aiszo? (*Dotyka ręką opaski na oczach dziewczyny*).

A i s z a. Nie dotykaj, pani! (*Robi kilka kroków w bok i natyka się na szafę z lekarstwami*).

S a l o m e a. Ostrożnie! Tam są pojemniki z lekami!

A i s z a (*z lękiem*). Jesteś lekarką?

S a l o m e a. Tak. Co z twoimi oczami?

A i s z a. W moich oczach załęgły się robaki.

S a l o m e a. Cóż za głupstwa! Pokaż. (*Robi krok w stronę Aiszy*).

A i s z a. Nie można zdejmować opaski! (*Odskakuje w bok*). Ten, kto zobaczy w nich robaki, umrze ze strachu.

S a l o m e a. Kto ci to powiedział?

A i s z a. Mufid-chanum, znachorka. Próbowала wytruć je ziołami, ale te zjadły zioła i stały się jeszcze większe. Niedługo zamienią się w żmije i pewnej nocy wypełzną, by mnie udusić.

G a l p i r (*odrywa się od kart na słowa Aiszy*). Słyszałaś, Salomeo? (*szydlerczo*) Zanotuj tę historię w swoich notatkach.

S a l o m e a (*łagodnie*). Aiszo, twój wuj powinien pokazać cię prawdziwemu lekarzowi. Chcesz, to przyjdę do was jutro?

A i s z a. Mój wuj nie będzie na darmo tracić pieniędzy. On czeka na narzeczonego, który zapłaci za mnie i moje leczenie.

S a l o m e a. Widzę, że nie poszczęściło ci się z wujem, dziewczyno.

A i s z a. U nas mówi się o takich: w Aj-Safii prosi o jałmużnę, a w Sułtanachmed sam daje.

S a l o m e a. Dawno zachorowałaś?

A i s z a. Zaraz po śmierci rodziców. (*Chce zmienić temat rozmowy*). Mieszkasz sama?

S a l o m e a. Tak.

A i s z a (*ze zdziwieniem*). A gdzie jest twój mąż, dzieci?

S a l o m e a. Dzieci dawno wyrosły i zostały w ojczyźnie, a mąż...

Mężczyźni grający w karty zrywają się od stołu i z niecierpliwością patrzą na Salomeę.

S a l o m e a (*z zadumą*). O jednym wiem, że umarł, drugi – myślę, że gdzieś zaginął, a trzeci – być może żyje.

Rozczarowani mężczyźni znów siadają przy stole.

A i s z a (*pod wrażeniem*). Salomeo-chanum, miałaś trzech mężów? Z jakiego kraju przyjechałaś?

S a l o m e a. Z dalekiego północnego kraju, Aiszo, gdzie człowiek jest tak samo nieszczęśliwy jak i tu, w Turcji.

A i s z a (*znajduje ręką brzeg stołu*). Opowiedz mi o sobie, Salomeo. (*Dotyka ręką notatek Salomei*). Tak lubiłam kiedyś czytać w książkach ciekawe historie. (*Przerzuca kartki notatnika*).

S a l o m e a. W książce, którą trzymasz w rękach, jest zapisana historia mojego życia.

A i s z a (*ocenia grubość książki*). Miałaś niezwykle życie! (*Siada przy stole*). Opowiedz szybko!

S a l o m e a (*z wahaniem*). Ale pod jednym warunkiem.

A i s z a. Jakim?

S a l o m e a. Wcześniej pokażesz mi swoje oczy.

A i s z a. Nie! (*Odskakuje od stołu i zasłania twarz rękami*).

S a l o m e a. Wobec tego – życzę szczęścia. Wracaj do swego wuja. (*Odwraca się od Aiszy*).

A i s z a (*po długiej pauzie*). Nie boisz się?

S a l o m e a. Jestem lekarką.

G a l p i r (*odrywa się od kart na słowa Salomei*). Cha cha cha! Szarlatanka!

A i s z a (*wzdycha*). Zgadzam się.

S a l o m e a (*podchodzi do dziewczyny*). Nie sprawię ci bólu. Tylko popatrzę i zawiążę opaskę z powrotem. Leczenie rozpoczniemy jutro, kiedy przygotuję potrzebne lekarstwa. (*Zdejmuje opaskę i uważnie przygląda się chorym oczom Aiszy*).

A i s z a. Widzisz je?

S a l o m e a. Co?

A i s z a. Robaki.

S a l o m e a. Nie ma żadnych robaków. Jest tylko choroba – niezbyt poważna, lecz zaniedbana. Najpierw trzeba będzie oczyścić oczy z ropy. To będzie bolało.

A i s z a. Ojej!

S a l o m e a. Potem przygotuję maść i będę smarować nią twoje oczy każdego wieczoru. (*Zawiązuje opaskę na oczach dziewczyny*). Zgadzasz się?

A i s z a (*dzielnie*). Pod jednym warunkiem. Opowiesz mi o swoim życiu.

S a l o m e a (*z zadumą*). U was jest inny kraj, inne obyczaje, wiele rzeczy wyda ci się dziwnymi i niezrozumiałymi.

Aisza. Opowiedz, jak trafiłaś do Stambułu i zostałaś lekarką.

Aisza siada na krześle po turecku. Obok siebie znajduje wagę lekarską i przez pewien czas trzyma ją w rękach, wyglądając jak bogini Temida. Panowie

porzucają grę w karty i również zamierzają słuchać opowiadania Salomei. Jakub Galpir niecierpliwie oczekuje swego wyjścia na scenę.

S a l o m e a (*po długiej pauzie*). Kiedy byłam młoda mieszkałam na Litwie w województwie nowogródzkim. Moi rodzice wydali mnie za mąż za starego niemieckiego lekarza Jakuba Galpira. Mój ojciec, Joachim Rusiecki, całe życie chorował na oczy i kiedy Galpir szczęśliwie wyleczył go, z radością rozliczył się nie pieniędzmi, lecz jedną ze swoich uroczych córek. Tego samego 1731 roku przyjechaliśmy z mężem do Stambułu, gdzie Galpir prowadził szeroką praktykę...

Pokój pogrąża się w ciemności i tylko Salomea pozostaje oświetlona. Kiedy znów zapala się światło, nie ma już w pokoju ani Aiszy, ani adoratorów Salomei.

S a l o m e a. Na pewno Jakub ożenił się ze mną po to, by mieć w domu darmową służącą, pomocnika i ucznia. A mnie nikt nie pytał, czy chcę w ogóle wyjść za niego za mąż. Lecz wkrótce po przyjeździe do Stambułu mój mąż trafił do więzienia i musiałam go ratować.

Wchodzi Jakub Galpir w żelaznych kajdanach z długim zardzewiałym łańcuchem.

S a l o m e a. Mój Boże, Jakubie, co się stało? Dlaczego zostałeś wtrącony do więzienia?

G a l p i r. O, meine Mädchen! Dziękuję, że przyszałaś się pożegnać. Być może widzimy się po raz ostatni.

S a l o m e a. Nie mów głupstw, Jakubie! O co cię posądzają?

G a l p i r (*bezradnie*). O śmierć dowódcy straży. Leczyłem go dwa tygodnie i wydawało się, że już czuł się lepiej, lecz wczoraj wypił eliksir, który mu dałem i po godzinie umarł.

S a l o m e a. Pomyliłeś się? Dałeś mu truciznę zamiast eliksiru?

G a l p i r. Nie mogłem się tak pomylić!

S a l o m e a. A może eliksir się zepsuł?

G a l p i r. Nie. Myślę, że dowódca straży umarł sam z powodu choroby. Na moje nieszczęście śmierć przyszła zaraz po zażyciu lekarstwa.

S a l o m e a. Tylko tak myślisz czy jesteś tego pewien? A jeśli jednak pomyliłeś się i dałeś mu truciznę?

G a l p i r. Jakie to ma teraz znaczenie! I tak jutro kat zgładzi mnie jako zabójcę.

S a l o m e a. Nie! Pójdę do sułtana i przekonam go, że nie jesteś winien śmierci dowódcy straży.

G a l p i r. To nie pomoże, meine Seele. Sam wezyr Izmail-pasza kazał wtrącić mnie do lochu.

S a l o m e a. Pójdę do samego wezyra.

G a l p i r. Czyżbyś nie słyszała, jaki to straszny człowiek? On i Turków, i chrześcijan zabija jak kot myszy! Cóż dla niego znaczy życie biednego niemieckiego lekarza? A czy wiesz, co on wyrabia z białogłowami, które wstawiają się za swoimi mężami? Lepiej nie trafić w jego szpony.

S a l o m e a. Ależ ja nie pójdę do niego. Jeszcze nie wiem jak, ale wyzwolę cię, Jakubie!

G a l p i r. Nie! Zabraniam ci! Lepiej już umrę najstraszliwszą śmiercią, niż moja żona miałaby stracić honor.

S a l o m e a. Nie, lepiej już ja stracę honor, niż pozwolę umrzeć mojemu mężowi.

G a l p i r (*woła za nią*). Nie chodź do wezyra, Salomeo! Nie pozwalam! Nie daruję ci, Salomeo! (*zasłania głowę rękami*).

Do pokoju cicho wchodzi Salomea. W ręce trzyma kluczyk od obroży.

S a l o m e a (*smutno*). Mężczyźnie łatwiej jest znieść własną hańbę, niż hańbę żony. Wyobrażam sobie, jaką straszną noc przeżył Galpir, jakie wstrętne obrazy jawiły mu się przed oczami. Nie dziwię się, że kiedy rano weszłam do lochu, mąż przywitał mnie nieprzyjaźnie! Przyszłam, by zabrać cię do domu! (*Rzuca się mężowi na szyję*).

G a l p i r (*krzyczy*). Dirre! Lump! (*Bije żonę ręką w twarz*). Dziwka! Suka! Łajdaczka!

S a l o m e a (*chwyta podniesioną na nią rękę*). Nie! Nie! Nie gniewaj się na mnie. Nie zrobiłam niczego złego. Po prostu wypłam w obecności wezyra i lekarza sułtana eliksir, który przyjmował dowódca straży.

G a l p i r. Co? Wypiłaś eliksir?

S a l o m e a. Poprosiłam, żeby żona dowódcy straży przyniosła do pałacu wezyra eliksir i na oczach wszystkich dopiłam to, co zostało w butelce. Nie umarłam. Izmail-pasza zrozumiał, że nie jesteś winien i kazał cię wypuścić. To proste.

G a l p i r (*z gniewem*). Proste? A jeśli w butelce byłaby trucizna?

S a l o m e a (*spokojnie*). Wtedy bym umarła i nie wypuściliby cię.

G a l p i r (*wznosi ręce do nieba*). O, mein Gott! Jaką żonę mi dałeś! (*Obejmuje Salomeę*). Moja kochana, moja najdroższa! Uratowałaś mnie, a ja, ja... Co o tobie pomyślałem, jak cię przywitałem. Przebac mi, Salomeo, przebac. (*Placze*).

S a l o m e a. Daj, zdejmę z ciebie tę obrożę i pójdziemy do domu. (*Wkłada kluczyk do zamka, zdejmuje kajdany i rzuca na podłogę*).

G a l p i r. Tak tak, mei Herzt, chodźmy do domu. Jak to dobrze, gdy na stare lata człowiek ma dom i miłą wierną żonę. Cóż więcej potrzeba biednemu niemieckiemu lekarzowi?

Salomea i Jakub wychodzą z pokoju. Wkrótce Salomea wraca.

S a l o m e a (*przedrzeźnia męża*). Jak to dobrze, gdy na stare lata człowiek ma dom i miłą wierną żonę. Cóż więcej potrzeba biednemu niemieckiemu lekarzowi? Tfu! Stary ciamajda! Na początku rzeczywiście żyliśmy dobrze; urodziła się nam córka Konstancja, pomagałam mężowi w jego pracy. Wiele się od niego nauczyłam i sama zaczęłam leczyć ludzi, miałam coraz więcej pacjentów i nieźle zarabiałam. I nagle mój kochany mąż zabrał wszystkie pieniądze i kosztowności i uciekł ode mnie. Porzucił mnie z maleńką córeczką na rękach, w dalekim obcym kraju. Dopiero po kilku latach poznałam przyczynę jego ucieczki. W 1735 roku, obie z Konstancją wyjechałyśmy ze Stambułu i po wielu niebezpiecznych przygodach zatrzymałyśmy się w Sofii, gdzie znalazłam pracę na dworze paszy Kiupru-ułu i pacjentów w mieście. Nie myślałam, że przyjdzie mi się jeszcze kiedyś spotkać ze swoim mężem.

Do pokoju niepewnie wchodzi Jakub Galpir. Trudno go poznać: ma na sobie znoszone, podarte ubranie, bandażę na głowie, rękach i nogach.

G a l p i r (*drżącym głosem*). Czy można do pani doktor?

S a l o m e a (*nie poznaje go*). Kto wpuścił do mego domu tego żebraka? (*Do Galpira*). Nie przyjmuję dziś pacjentów, dziadku!

G a l p i r. Bój się Boga, Salomeo, nie poznajesz mnie? Spójrz, to ja, twój mąż, Jakub Galpir.

S a l o m e a (*przygląda się*). O, Najświętsza Panno! Jakubie, co się z tobą stało?

G a l p i r. Fortuna odwróciła się ode mnie. Straciłem majątek, pieniądze i zdrowie. Zostałaś mi tylko ty, meine Mädchen. Zlituj się nade mną i nie przeganiaj ze swojego domu.

S a l o m e a. Trudno cię poznać!

G a l p i r. Jestem ciężko chory i żaden lekarz nie podejmuje się leczenia mnie. Słyszałem, że jesteś teraz najlepszym medykiem w Sofii i nawet pracujesz na dworze paszy Kiupru-ułu. Wylecz mnie, Salomeo, albo umrę na twoich rękach.

S a l o m e a. Ale dlaczego uciekłeś ode mnie w Stambule? Potajemnie wyniosłeś kosztowności i pieniądze z domu i bez słowa uciekłeś.

G a l p i r (*klęka przed Salomeą*). Przebacz mi, Salomeo, przebacz.

S a l o m e a. Ale dlaczego, dlaczego?

G a l p i r (*ze złością*) Ty sama jesteś winna. (*Wstaje z kolan*). Po co zabrałaś się za leczenie ludzi?

S a l o m e a. Bo mnie tego nauczylesz.

G a l p i r. Nauczyłem ciebie tylko tego, co najłatwiejsze, żebyś mogła mi pomagać. A ty sama zaczęłaś leczyć.

S a l o m e a. Turcy nie chcieli dopuszczać do swoich chorych żon mężczyzn lekarzy, dlatego chętnie zwracali się do mnie.

G a l p i r. Ale potem zaczęli przychodzić do ciebie także chorzy mężczyźni. Nawet moi pacjenci!

S a l o m e a. A więc to tak... Zaczęłaś mi zazdrościć? Uraziłam twój męski egoizm?

G a l p i r. Nie męski, ale lekarski! Sam Pan Bóg wie, jak leczyłaś ludzi nie znając medycyny, ba, nie znając nawet łaciny!

S a l o m e a (*spokojnie*). Po prostu odnosiłam się do swoich chorych po ludzku.

G a l p i r. Nie umiałaś wypisać recepty, a zabrałaś się za leczenie beznadziejnie chorych pacjentów, których nie chcieli leczyć inni medycy! Dawiałaś im nie takie lekarstwa, jakie należało!

S a l o m e a. Jak można odmówić człowiekowi pomocy? Nawet beznadziejnie choremu.

G a l p i r. I co najgorsze, twoi pacjenci wracali do zdrowia. Teufelei!

S a l o m e a. Przede mną leczyli ich różni dobrzy lekarze, ale Pan Bóg nie objawił im godziny, w której nastąpi poprawa, a ja ze swoimi niewłaściwymi lekarstwami trafiałam akurat w tę godzinę.

G a l p i r. Awanturnica!

S a l o m e a. Fortuna mnie ocaliła. Może dlatego, że sama jest kobietą.

G a l p i r. Tak samo zmienną, jak wszystkie kobiety. Po prostu nie chciałem czekać, aż się od ciebie odwróci i trafisz do lochu za swoją szarlatanerię, a ja razem z tobą!

S a l o m e a. Lecz Fortuna odwróciła się od ciebie, Jakubie.

G a l p i r (*znów klęka przed Salomeą*). Wybacz mi, Salomeo, wybacz!

S a l o m e a. A może to kara Boża cię dopadła?

G a l p i r. Zlituj się, Salomeo, wylecz mnie!

S a l o m e a. Mój drogi mężu! Wybaczam ci. Nie mam żalu do ciebie. Zostań ze mną, mój dom jest twoim domem, a wszystko, co mam, należy do ciebie. Ale jak mam ciebie wyleczyć? Wszystko, co wiem o medycynie, wiem od ciebie. Jeżeli ty sam nie możesz sobie poradzić z tą chorobą, jeżeli inni wykształceni lekarze odmówili leczenia, to jak ja mam ci pomóc? Sam powiedziałeś, że jestem szarlatanką, nie znam się na medycynie, nie znam nawet łaciny...

G a l p i r (*jęczy*). Wylecz mnie, Salomeo, proszę. Nie wiem w jaki sposób, ale wszystko ci się udaje. Pokręciło mi ręce i nogi, ból ściska głowę jak

obręczą, całą skórę mam pokrytą wrzodami. Jesteś moją ostatnią nadzieją, mein Gott.

S a l o m e a. A nauczysz mnie wypisywania recept po łacinie?

G a l p i r (*obejmuje Salomeę za nogi*). Co tylko zechcesz, moja droga. Co tylko zechcesz.

S a l o m e a (*kładzie ręce na głowę męża*). I oto zaczęłam leczyć swego nieszczęsnego chorego męża. Nigdy wcześniej nie spotkałam się z tą chorobą. Pomagałam mu tak jak umiałam. Solwacja Merkuriusz, to jest bardzo poważne.

G a l p i r (*z niezadowolaniem*). Merkuriusz solwacja.

S a l o m e a. Właśnie, Merkuriusz solwacja – to ja uczę się łaciny... Szkoda, że moją pierwszą praktykę odbędę na własnym mężu. Pomodliłam się do Trójcy Świętej i zaczęłam go leczyć jak mogłam i czym mogłam. Liczyłam tylko na pomoc Bożą, a nie na własne siły i umiejętności...

G a l p i r (*wstaje szybko z kolan*). I wyleczyła, dziwne, ale wyleczyła. (*Z oburzeniem*). Wykształceni medycy, Niemcy i Włosi poddali się, a dzika Litwinka dała radę. O, mein Gott, niczego nie rozumiem w medycynie!

Wściekły Galpir wybiega z pokoju, zrywając z siebie opaski. Pokój pogrąża się w ciemności. Światło pada tylko na Salomeę.

S a l o m e a. Niczego nie rozumiesz z życia, Jakubie. To nie Niemcy czy Włosi, lecz dzika Litwinka była twoją Mädchen, twoją Seele, twoim Gott. Odżywiony przy mnie, mój kochany mąż, doszedł do siebie, wyzdrowiał i znów porzucił mnie i uciekł do Bośni, a stamtąd – do Stambułu. Już nawet nie miałam żalu do niego, Pan Bóg jednak mu nie darował: w Stambule Jakub Galpir zapadł na zarazę i umarł.

Pokój zostaje oświetlony i widzimy Aiszę wstrząśniętą opowiadaniem Salomei.

A i s z a. Jakiż to niewdzięczny człowiek: ryzykowałeś dla niego życie, a on okłamywał cię i okradał. Jak mogłaś przebaczyć mu krzywdę i poniżenie? ... Jesteś bardzo dobra, Salomeo-chanum. Przyjdę do ciebie jutro, żebyś leczyła mi oczy.

S a l o m e a. Będzie mi miło znów cię spotkać, Aiszo. (*Ostrożnie*). Odprowadzić cię?

A i s z a. Nie trzeba. Tak często przychodzę tutaj, że znam już drogę na pamięć. Dobranoc, Salomeo-chanum.

S a l o m e a. Do jutra, Aiszo.

Aisza znika za drzwiami.

S a l o m e a. Mówią, że ślepi dostrzegają w nas nawet to, czego nie mogą zobaczyć widzący. Chciałabym zobaczyć siebie oczami tej niewidomej dziewczyny.

Scena druga

Pokój Salomei po kilku dniach. Salomea siedzi przy stoliku i przygotowuje maść. Aisza siedzi plecami do widzów. W pokoju nie ma więcej nikogo.

S a l o m e a. Jesteś dzielną dziewczyną, Aiszo. Ani razu nie krzyknęłaś, kiedy przemywałam ci oczy.

A i s z a. Bałam się, że usłyszysz wuj lub ktoś z rodziny.

S a l o m e a. Twój wuj ma dużą rodzinę?

A i s z a. Cztery żony, dwóch synów i pięć córek.

S a l o m e a. Wesoło jest ci z nimi.

A i s z a. Na mnie nikt nie zwraca uwagi. Chłopcy do damskiej części domu wcale nie zagląдают, a ciotki i siostry są bardzo zajęte: opowiadają sobie plotki lub przez szpary w okiennicach oglądają przechodniów. Piętro domu jest wysunięte do przodu i to pozwala obserwować całą ulicę od jednego końca do drugiego. Doskonale pomyślane, prawda, Salomea-chanum?

S a l o m e a. Ta osobliwa cecha tureckich domów na początku wydawała mi się niedorzeczna. Teraz rozumiem, że to budowniczowie zatroszczyli się o ciekawskie kobiety. *(Kończy smarować maścią oczy Aiszy.)* Posiedź chwilę, dopóki maść nie podeschnie. *(Chowa maść do szafy i wraca do Aiszy.)* Przecież przez okno całego świata nie zobaczysz.

A i s z a. Moje siostry patrzą na przystojnych mężczyzn i marzą o tym, by czym prędzej wyjść za mąż. Dwie z nich już mają narzeczonych. Po co im cały świat?

S a l o m e a. To prawda, po co? Wędrówka po świecie to ciężki krzyż dla kobiety. Takie podróżniczki trudno nazwać szczęśliwymi. Niepotrzebny jest świat i tobie, Aiszo, wkrótce wyjdiesz za mąż i opuścisz niemiły dom.

A i s z a. Nie wyjdę za mąż – komu jest potrzebna niewidoma żona?

S a l o m e a. Nie marudź, wyleczymy cię i nie opędzisz się od kawalerów.

Nagle Aisza zaczyna wycierać maść rękawem sukni.

S a l o m e a. Co robisz, głupia? *(Chwyta Aiszę za rękę.)*

A i s z a *(krzyczy)*. Nie trzeba mnie leczyć! Puść mnie, pójdę do domu.

S a l o m e a. Uspokój się, dziwaczko. Co z tobą?

A i s z a. Nie chcę mieć zdrowych oczu!

S a l o m e a. Ot i masz! Opowiedz mi wszystko szczerze, jak przedtem ja tobie.

A i s z a. Ten, za kogo chcę wyjść za mąż, już prosił o moją rękę, ale mój wuj odmówił.

S a l o m e a. Dlaczego?

A i s z a. Wuj obliczył, że Nedim nie ma dość pieniędzy, aby wziąć mnie za żonę.

S a l o m e a. Historia stara jak świat. A kim jest Nedim?

A i s z a. To nauczyciel, który uczył mnie tureckiego i arabskiego.

S a l o m e a (z *niedowierzaniem*). Twój wuj, sknera, płacił za twoja naukę?

A i s z a. Nie, to było jeszcze wtedy, gdy żył ojciec.

S a l o m e a. Zazwyczaj Turcy nie zapraszają do swoich córek lekarzy i nauczycieli mężczyzn. (*Na stronie.*) I jak widać robią słusznie. (*Zawiązuje dziewczynie opaskę na oczy.*)

A i s z a. Mój ojciec Gajwasz-pasza nie był zwykłym człowiekiem. Interesował się poezją, muzyką, zawsze przywoził z wypraw książki i obrazy. Bardzo kochał moja matkę Latifę, i chociaż Allah nie dał im więcej dzieci, ojciec nie chciał mieć innych żon. Pewnego razu matka sama podarowała mu młodą niewolnicę, żeby urodziła mu potomka, ale on odprawił dziewczynę do służby w kuchni. Nie więc dziwnego, że gdy matka umarła i ojciec niedługo pożył na tym świecie. (*Zaczyna cicho płakać.*)

S a l o m e a (*szybko zmienia temat*). A co z Nedimem?

A i s z a. Ach, Salomeo-chanum, żebyś go tylko zobaczyła! Jak pięknie czytał wiersze, śpiewał i grał na bandurze!

S a l o m e a (z *lękiem*). Mój Boże, tylko nie to!

A i s z a. Co mówisz?

S a l o m e a. Och nie, ja do siebie. (*Na stronie.*) Znałam kiedyś takiego jednego, co pięknie śpiewał i grał na bandurze.

A i s z a (*rozmarzona*). Zapamiętałam jeden wiersz, jaki recytował Nedim. Młodzieniec prosi dziewczynę, żeby wyjechała z nim do miasta – ogrodu. Tam, gdzie jest wiele przezroczyстых stawów i cichych alejek, gdzie z paszczy smoka bije fontanna z żywą wodą, gdzie w złotym pałacu nocują wiatry. Tam spełniają się najbardziej skryte marzenia... Lubisz wiersze, Salomeo?

S a l o m e a. O wiele chętniej czytam rozprawy medyczne.

A i s z a (przytula się do Salomei). Jak myślisz, szczęśliwe miasto istnieje naprawdę?

S a l o m e a. Możliwe, ale z jakiegoś powodu zawsze omijałam je w swoich podróżach. A gdzie jest teraz twój Nedim?

Aisza. Chodziły słuchy, że od razu po nieudanych oświadczeniach wyjechał do Egiptu.

S a l o m e a. Jeśli prosił o rękę chorej dziewczyny, to znaczy, że naprawdę cię kochał. Masz szczęście, Aiszo. Przeżyłam dwa razy więcej niż ty, ale nie mogę się pochwalić, że kochał mnie szczerze chociaż jeden mężczyzna.

A i s z a. Czyżby i drugi mąż cię nie kochał? Salomeo, opowiedz, co działo się z tobą po tym, jak umarł Galpir. Było ci ciężko?

S a l o m e a. Z pozoru nic się nie zmieniło, nadal sama zarabiałam na życie. Tylko wyjechałyśmy z córką z Sofii. Rozpoczęła się wojna. Serbowie i Bułgarzy powstali przeciwko twoim rodakom. Przeprowadziłyśmy się do Widynia, gdzie było trochę spokojniej. Tam wkrótce znalazłam wielu pacjentów. I chociaż byłam już wdową, w wieku 19 lat niełatwo jest być samotną. Kiedy młoda, ładna kobieta żyje bez męża, wszyscy patrzą na nią jak na rozpustnicę, którą może mieć każdy. Dlatego każda z nas chce mieć męża, żeby móc się schować za niego jak za mur przed plotkami i poniżeniem okrutnego świata. Jakże często ofiarując wolność i niezależność w imię bezpieczeństwa i przyzwoitości, zamiast do schronienia trafiamy do więzienia, zamiast obrońcy mamy złodzieja we własnym domu! W 1738 roku zupełnie niespodziewanie dla samej siebie drugi raz wysłam za męża...

Światło w pokoju gaśnie, a gdy zapala się ponownie, widzimy tylko Salomeę. Do pokoju wchodzi chorąży Józef Pilsztyn, nieładny czterdziestoletni mężczyzna w austriackim mundurze.

P i l s z t y n (*nieuprzejmie*). Pani posyłała po mnie?

S a l o m e a. Tak, posyłałam, panie...

P i l s z t y n. Chorąży austriackiej cesarskiej armii Fortunat Josef Kapus von Pichelschtein!

S a l o m e a. A więc, panie... Pilsztyn. Jeśli można, będę tak pana nazywać?

P i l s z t y n. Jak pani sobie życzy.

S a l o m e a. Dostał się pan do tureckiej niewoli... Gdzie?

P i l s z t y n. Pod Krajową, pani. Tam rozegrała się bitwa niefortunna dla naszej armii. Tysiące oficerów i żołnierzy trafiło do niewoli.

S a l o m e a. Tak, tak. Jak pan wie, wykupiłam od pułkownika Mechmed-agi czterech oficerów za 800 złotych monet, w tym i pana.

P i l s z t y n. Niech Bóg wynagrodzi pani dobro.

S a l o m e a. Mam nadzieję, że tak się stanie. Ale jestem tylko biedną lekarką. Nie mam pieniędzy na chrześcijańską dobroczynność. Każdy z was miał napisać do rodziców list z prośbą o wysłanie po 300 złotych monet okupu, a ja podjęłam się wysłania listów przez kuriera do Wiednia.

P i l s z t y n. Tak, pani, napisaliśmy listy.

S a l o m e a. Dziś kurier wrócił i przywiózł mi za moich niewolników 900 złotych monet okupu.

P i l s z t y n. Dlaczego 900? A pozostałe 300?

S a l o m e a. O, w armii austriackiej nauczono pana dobrze liczyć. Ja też pomyślałam, dlaczego 900, a gdzie pozostałe 300? Okazało się, że za jednego oficera okupu nie przysłano. Domyśla się pan, za kogo?

P i l s z t y n (*zastanawia się*). Moi rodzice mieszkają daleko od Wiednia. Poczta musi iść przez Gratz, Steiermark, Dolną Karyntię, Leibach do miasteczka Pichelstein. Ojciec późno otrzymał list i nie zdążył przekazać pieniędzy.

S a l o m e a. A może nie mógł lub nie chciał?

P i l s z t y n. Mój ojciec jest szlachcicem i zamożnym człowiekiem. On nie porzuciłby syna w niewoli.

S a l o m e a. I co mam z panem zrobić? Jutro pańscy przyjaciele oficerowie wybierają się do domu. Ja również wyjeżdżam do ojczyzny, na Litwę.

P i l s z t y n. Litwa – gdzie to jest?

S a l o m e a. Pomiędzy Polską a Rosją. Będę musiała zwrócić pana pułkownikowi Mechmedowi-adze.

P i l s z t y n (*ze strachem*). Pani, nie oddawaj mnie z powrotem Turkom! Weź mnie ze sobą na Litwę!

S a l o m e a (*zdziwiona*). Wziąć pana ze sobą? W jakim charakterze? W mojej ojczyźnie nie ma niewolników.

P i l s z t y n. W charakterze sługi i strażnika.

S a l o m e a. Mówi pan poważnie? Chorąży austriackiej cesarskiej armii, pan ... de ...

P i l s z t y n. Fortunat Josef Kapus von Pilchelstein, pani!

S a l o m e a. Pan von będzie sługą i strażnikiem wędrownej lekarki?

P i l s z t y n. Pani wie, jak Turcy obchodzą się z wziętymi do niewoli chrześcijanami?

S a l o m e a. Nie wiem. Czyżby gorzej niż lekarki z wziętymi do niewoli oficerami. (Ś m i e j e się). Dobrze, panie Pilsztyn, zabiorę ciebie z Widynia. A dalej zobaczymy.

P i l s z t y n. Dziękuję, pani. Bóg wynagrodzi pani dobro. (*Wychodzi z pokoju*).

S a l o m e a (*za nim*). Hej, niech pan napisze do ojca, żeby przysłał mi okup na Litwę! (*Po namyśle*). I cóż miałam robić z tym austriackim pawiem? Musiałam ciągać go ze sobą. Razem wyjechaliśmy z Widynia, razem przyjechaliśmy do Ruszczyku, gdzie trafiliśmy do więzienia podejrzani o szpiegostwo. Uwolnieni z pomocą Pana Boga dojechaliśmy do granic Rzeczypospolitej. I chociaż trochę przywiązałam się w podróży do mojego niewolnika, a zwłaszcza moja córeczka Konstancja, jednak wieść go dalej nie

wypadało. Zdecydowałam, że zostawię go w Barze u jezuitów, żeby czekał w klasztorze, aż przyślą za niego pieniądze. Ale Pilsztynowi mój zamiar nie spodobał się.

Wchodzi Józef Pilsztyn.

P i l s z t y n (*zaniepokojony*). Pani Salomeo, czy to prawda? Chce pani zostawić mnie w jezuickim klasztorze?

S a l o m e a. Prawda. A co się panu Pilsztynowi nie podoba? Jezuici to przecież nie Turcy, których się pan tak boi. W klasztorze będzie panu dobrze. A kiedy przyjdą pieniądze, będzie pan wolny i wróci pan do ojczyzny.

P i l s z t y n. Napisałem już trzy listy i nie otrzymałem odpowiedzi.

S a l o m e a. Szczerze współczuję. Niech pan napisze po raz czwarty.

P i l s z t y n. Jest pani niezadowolona z mojej służby?

S a l o m e a. Przeciwnie, jestem bardzo zadowolona. I z pana służby i z pańskiego towarzystwa. Ale nasze drogi rozchodzą się, panie Pilsztyn. Jest pan moim niewolnikiem, raz jeszcze współczuję. Ale jest pan także szlachcicem, oficerem i nie może pan być służącym lekarki. Zgodziłam się na tę maskaradę tylko na jakiś czas, żeby uratować pana... i swoje pieniądze. Oprócz trzystu złotych nic nas ze sobą nie łączy. Życzę wszystkiego dobrego!

P i l s z t y n. Ach, jakże się pani myli! Gdyby pani Salomea zgodziła się...

S a l o m e a. Czego pan jeszcze chce ode mnie? Czyż mało już dla pana zrobiłam?

P i l s z t y n. Jeśli pani nie chce mieć mnie za sługę, a ja nie chcę zostać u jezuitów, czy nie zgodziłaby się pani Salomea wziąć mnie za męża?

S a l o m e a. Za męża? Pan oszalał? Jezuici są aż tak straszni?

P i l s z t y n. Tak przywiązałem się do pani. I do Konstancji również.

S a l o m e a. Ależ z pana dowcipniś! Że też przyszło panu coś takiego do głowy!

P i l s z t y n. Pani Salomeo, niech się pani nie śmieje z moich oświadczeń. (*pada przed Salomeą na kolana*). Mówię poważnie! Pani, z woli Bożej jest wdową, ja – kawalerem, a chociaż dziś jestem niewolnikiem, to obiecuję, że będę panią szanować i słuchać pani tak jak teraz również po ślubie. Gdzie pani znajdzie drugiego takiego wiernego i potulnego męża?

S a l o m e a. Nawet słuchać tego nie chcę! Niech mnie pan zostawi!

P i l s z t y n. Ach, tak! Pani mi odmawia, nie wierzy pani w moją miłość? (*Wstaje z podłogi*). Udowodnię pani! (*Podbiega do szafy z lekarstwami, chwytając butelkę z czerwonym płynem i wypija kilka łyków*).

S a l o m e a. Przestań, szaleńcze! Co robisz? (*Podbiega do Pilsztyna*).

P i l s z t y n (*pokazuje butelkę Salomei*). Mam nadzieję, że to trucizna?

S a l o m e a (*spogląda na butelkę i klaszcze w dłonie*). Boże, po co pan to wypił? (*Odbiera butelkę Pilsztynowi i stawia z powrotem do szafy*).

P i l s z t y n (*drżącym głosem*). Powiedz, pani, czy wypilem truciznę?

S a l o m e a (*po chwili*). Tak. Po co pan to zrobił?

P i l s z t y n. (*patetycznie*). Żeby udowodnić moją miłość.

S a l o m e a (*wzruszona*). Boże, pan nie żartuje?

P i l s z t y n. Nie. Teraz umrę i pani zobaczy, do czego doprowadziła mnie pani bezduszność i okrucieństwo. Może wtedy będzie pani żałować!

S a l o m e a. Mój drogi Fortunacie, ja już żałuję! Ale co mam teraz z panem zrobić? (*Zasłania twarz rękami*).

P i l s z t y n. Jak to? Więc w butelce naprawdę była trucizna? (*Na stronie*). Przecież trucizny nie przechowuje się w takich dużych butelkach. (*Chwyta się za brzuch*). Boli! Rozpoczynają się skurcze. Salomeo, ratuj mnie, nie chcę umierać! (*Siada i ze strachem rozgląda się wokół*).

S a l o m e a (*pokłada się ze śmiechu*). Nie chcesz umierać? A czego chcesz? Może na nocnik? (*Patetycznie*) O, jak majestatycznie umierał austriacki chorąży Fortunat Josef Kapus von Pichelstein po wypiciu lekarstwa przeciwko zaparciom!

P i l s z t y n. O, Salomeo! (*Wybiega z pokoju, trzymając się za brzuch*).

S a l o m e a (*po pauzie*). I cóż miałam robić, musiałam wziąć go za męża. W końcu ryzykował dla mnie życie. (*Smutno*). Ale prawdę mówią ludzie: jak się ożenił, to się odmienił. Przywiązanie do małej Konstancji – to wszystko, co pozostało dobrego w moim mężu Józefie z byłego niewolnika Pilsztyna. Dotrzymałam danego słowa i pomogłam mężowi zostać oficerem w wojsku hetmana litewskiego Michała Radziwiłła, za własne pieniądze wyekwipowałam go: kupiłam mu stroje, konie, zbroję, pistolety i wszystko, co było potrzebne. Popadłam w długi i żeby je spłacić zdecydowałam się wyjechać do Petersburga, do carycy Anny Iwanowny, żeby tym razem wyzwalać tureckich niewolników i leczyć rosyjskich wielmożów. Józefa i Konstancję zostawiłam w Nieświeżu: on miał służyć w wojsku, a ona – uczyć się w klasztorze benedyktynek. A kiedy wróciłam z Petersburga, gdzie spotkało mnie wiele niebezpiecznych przygód, nie zastałam swego potulnego męża w Nieświeżu. Za pijaństwo, bójki i rozpustę książe Radziwiłł odesłał mojego Pilsztyna ze swojej rezydencji do Łachwy, głuchej wioski na Polesiu, gdzie znalazłam jego i moją córkę.

Do pokoju chwiejnym krokiem wchodzi pijany Pilsztyn w niechlujnie włożonym mundurze wojsk litewskich, zauważa Salomeę.

P i l s z t y n. Spójrzcie, kto do nas przyjechał! Moja ukochana żona porzuciła petersburskie salony i zawitała do nas, do poleskiej głuszy. (*Kłania się*). Witam, witam panią, Salomeo Jakimowno, na ojczystej ziemi! (*Chce pocałować żonę w rękę*).

S a l o m e a (*chowa rękę*). Fe, Józefie, jesteś pijany, ledwie trzymasz się na nogach!

P i l s z t y n. No, pijany. A co mi pozostało? Teatrów ani balów tutaj nie ma, moja droga.

S a l o m e a (*pogardliwie*). A te okropne kobiety, które spotkałam po drodze?

P i l s z t y n. Proszę o wybaczenie, to nie hrabianki i nie księżniczki. To dwie zwyczajne wiejskie baby.

S a l o m e a. Co one robią w twoim domu?

P i l s z t y n. W dzień jedna z nich gotuje jedzenie, a druga pierze bieliznę, a w nocy... a w nocy niczym się nie różnią.

S a l o m e a. Boże, Józefie, jak mogłeś tak nisko upaść? Ty – szlachcic, oficer.

P i l s z t y n. A jak ja – szlachcic i oficer mogłem upaść tak nisko i ożenić się z nieszlachetnie urodzoną lekarką, która zostawiła męża, i sama włóczy się nie wiadomo gdzie i nie wiadomo z kim?

S a l o m e a. Jak możesz, Józefie? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam... Kiedy prosiłeś, żebym została twoją żoną, nie przeszkadzało ci moje nieszlacheckie pochodzenie. Kto przysięgał, że będzie mnie szanował, będzie wiernym i wdzięcznym mężem?

P i l s z t y n. Wtedy byłem twoim niewolnikiem i sługą, a teraz jestem twoim panem. Musisz być mi posłuszna i wdzięczna za to, że się z tobą ożeniłem. To jak, przywiozłaś z Petersburga pieniądze, handlarko niewolników? Miałem duże wydatki i popadłem w długi.

S a l o m e a. Jakie pieniądze, Józefie? Turków, podarowanych mi przez carycę, odebrał mi Radziwiłł i bez okupu odesłał do ojczyzny. Powiedział, że mamy z Turcją pokój i nie możemy trzymać u siebie Turków w niewoli i żądać za nich pieniędzy.

P i l s z t y n. I tak masz pieniądze, wiem dobrze. Na pewno otworzyłaś oczy nie jednemu wielmożnemu sukinsynowi i wyleczyłaś z zapać wiele tytułowanych zdzir!

S a l o m e a. Masz jeszcze tyle bezczelności, by żądać ode mnie pieniędzy? Przepuściłaś cały majątek, jaki tobie zostawiłam, zabrałaś z klasztoru Konstancję i pieniądze, jakie zostawiłam siostron benedyktynek na jej utrzymanie, przywiozłaś nieszczęsną dziewczynkę tutaj, żeby co dzień widziała twoje pijaństwo i rozpustę.

P i l s z t y n. Nie czepiaj się Konstancji, Kocham tę dziewczynkę! Biedna sierotka już zapomniała, jak wygląda jej matka.

S a l o m e a. Przypomnij sobie, ile zapłaciłam za twój ekwipunek. Za stroje, konie, zbroję, pistolety i tabakierki...

P i l s z t y n. Wypomnij jeszcze chusteczki do nosa!

S a l o m e a (*krzyczy*). I chusteczki do nosa! I pościel! Wszystko, co masz, na czym śpisz, w czym chodzisz, kupiłam ja. I śmiesz jeszcze wyrzucać mi, że nie jestem szlachetnie urodzona, a ty jesteś oficerem i szlachcicem? (*Zrozpaczona*). Boże, co robić?

P i l s z t y n. Nie wiesz? Przecież jesteś doktorem medycyny. Kup sobie za trzy grosze trutkę ma myszy i otruj się.

S a l o m e a (*bezradnie*). Ty... ty... Za wszystko, co dla ciebie... Wykupiłam cię z tureckiej niewoli... mówisz mi: otruj się... (*Z gniewem*). Ach, ty, austriacki pawiu! Ach, ty, niemiecki kapłonie! Zwróć mi moje trzysta złotych monet i wynoś się do swego Leibach, Pilsztynie diabelski!

P i l s z t y n. (*groźnie*). Nie Pilsztyn, a Fortunat Josef Kapus von Pichelstein. (*Podchodzi do żony i bije ją ręką w twarz*). To za austriackiego pawia, kurwo. (*Bije w drugi policzek*). A to za niemieckiego kapłona. (*Chwyta Salomeę za rękę*). A teraz pójdziemy do łóżka i przekonamy się, czym różni się lekarka od kucharki czy praczki.

Pilsztyn wynosi Salomeę z pokoju. Po jakimś czasie wraca smutna Salomea, poprawia ubranie i fryzurę.

S a l o m e a. Tak stałam się niewolnicą swego męża, jego kucharką, praczką, a nocą – nałożnicą. Najgorsze było to, że kiedy mąż zgwałcił mnie, zaszłam w ciążę. Czasem wydawało mi się, że to sen, nie mogłam przecież z własnej woli wybrać sobie takiego losu, to tak, jakby samemu założyć sobie pętlę na szyję i z gospodyni stać się niewolnicą. Ale trzeba było się obudzić i szukać wyjścia. Pomogły mi kłopoty finansowe. Żołd oficerski nie wystarczał na życie, a jeszcze trzeba było spłacać długi, postanowiłam więc pojechać do Wiednia na zarobek. Tam też urodziłam syna Franciszka. Nie od razu, ale znalazłam pacjentów przy dworze cesarza Karola, dorobiłam się i nie chciałam nigdzie wyjeżdżać. Napisałam do Pilsztyna, że chcę żyć z nim w separacji i zabrać do siebie Konstancję. Po jakimś czasie dostałam od męża rzewny list, w którym prosił mnie o wybaczenie jego haniebnego postępowania i obiecywał, że się zmieni, że nawet już się zmienił, przysięgał miłość i wierność i prosił, żebym do niego wróciła z synem, którego tak pragnie zobaczyć... Co miałam robić? Rozum podpowiadał jedno, serce – drugie. Na dodatek z Pilsztynem została moja córka Konstancja, której za nic nie chciał mi oddać. Krótko mówiąc, głupia, sprawiłam mężowi kilka strojów obszytych złotym galonem, kupiłam wiele innych prezentów i pobiegłam na spotkanie swego nieszczęścia. Pilsztyn czekał na mnie już na granicy, zachowywał się grzecznie, cieszył się z syna i nawet w łóżku obchodził się ze mną nie jak z kucharką czy praczką. Po przyjeździe do domu czekała na nas uroczysta kolacja, a potem Józef przyszedł do mojej sypialni.

Do pokoju wchodzi Pilsztyn z tacą w rękach. Na tacy – butelka wina, dwa kieliszki i owoce.

P i l s z t y n. Zmęczyłaś się w drodze, moja droga? (Kładzie tacę na podłodze przed Salomeą).

S a l o m e a. Powiedz, Józefie, szczerze jesteś rad, że wróciłam?

P i l s z t y n. Rad? To niedobre słowo, jestem szczęśliwy. Troskliwa żona, piękna córka, zdrowy syn – czego jeszcze mógłbym oczekiwać? (*Siada na podłodze blisko Salomei*).

S a l o m e a. Kiedy zdążyłeś nalać wina?

P i l s z t y n. Wziąłem ze stołu napoczętą butelkę. (*Podaje kieliszek żonie i wznosi swój*). Za twój powrót, Salomeo!

Salomea i Pilsztyn piją wino.

S a l o m e a. Nie myślałam, że jeszcze kiedyś będziemy siedzieć obok siebie, Józefie. Po tych strasznych miesiącach na Polesiu... Brr, nie chce się wspominać.

P i l s z t y n. Jak ci smakuje wino, moja droga? Oczywiście nie jest tak dobre jak to, które pije w Wiedniu nasz cesarz Karol, ale i nie gorsze niż to, które żłopie tutaj wasz Radziwiłł.

Salomea. Dziękuję, dobre. Cieszę się, że pijesz je nie w samotności, tylko ze mną.

P i l s z t y n. A jak ja się cieszę, nie wyobrażasz sobie, moja droga.

S a l o m e a. Spodobały ci się stroje i prezenty, które ci przywiozłam?

P i l s z t y n. Moi współtowarzysze umrą z zazdrości.

S a l o m e a (*wreszcie uspokojona*). Ach, jak to dobrze, że się zmieniłeś, że znowu jesteś moim miłym, dobrym Józefem Pilsztynem, a nie tym strasznym Fortunatem Josefem Kapus von Pichelstein!

P i l s z t y n. Czyż obaj nie są tym samym człowiekiem, tym samym mną?

S a l o m e a. Nie, oni są zupełnie różni. Fortunat mnie nienawidził, i to tak mocno, że nawet radził mi kupić trutkę na myszy i otruć się. A Józef...

P i l s z t y n. (*wstaje z podłogi*). A Józef cię tak kocha, że sam kupił trutkę na myszy i dosypał ci do wina. Witaj, moja żono, i żegnaj!

S a l o m e a (*nie może uwierzyć*). Boże, co mówisz? Żartujesz, nie mogłeś tego zrobić! (*Próbuje wstać, ale nie ma siły*).

P i l s z t y n. Żegnaj, łatwowierna żono. Dziękuję, że przywiozłaś pieniądze. Już mi tak obrzydłaś ty, twoi rodacy i twój kraj, że lepiej będzie, jak wrócę do ojczyzny.

S a l o m e a. Za co, za co?! Wykupiłam cię z niewoli, wzięłam z tobą ślub, urodziłam twego syna!

P i l s z t y n. Czyżbyś nie wiedziała, że każdy niewolnik nienawidzi swego pana i życzy mu śmierci?! Długo przyszło mi znosić ciebie, być twoim niewolnikiem, sługą, mężem. Ale doczekałem się odpowiedniej chwili i teraz jestem wolny, wolny! (*Spokojnym głosem*). Konstancję zabiorę ze sobą, a Franciszek... Nie wiem, jaki rosyjskijest ojcem tego Żegnaj, k o c h a n a.
(*Wychodzi z pokoju*).

S a l o m e a. Nie zabieraj mi córki! Nie oddam ci jej, nie pozwolę!
(*Opanowuje się. Wącha kieliszek po winie, czołga się do szafy z lekami, jęcząc z bólu podnosi się, bierze szklankę i miesza w niej jakieś proszki i płyny*). Nie, mój najdroższy Fortunacie, tak łatwo się nie poddam. Nie umrę. Zapomniałeś, że jestem lekarką? Nie taką zwykłą trutkę trzeba było mi dosypać do wina.
(*Wypija gorączkowo przygotowane antidotum*). Możliwe, że gdyby nie groźba Pilsztyna, że zabierze Konstancję, nie walczyłabym tak zawzięcie o życie. Z Bożą pomocą umknęłam śmierci. A Pilsztyna złapali żołnierze Radziwiłła i zamknęli do aresztu. Darowałam mu i na moją prośbę wkrótce go wypuszczono. Ale żyć z nim, ani widzieć go już nie chciałam. Zostawiłam dzieci pod opieką pani Potockiej, kasztelanki braćwawskiej, wyjechałam do Turcji, żeby znaleźć swoich niewolników i otrzymać za nich okup. Najświętsza Panienko, w drodze przeklęty Pilsztyn jeszcze raz przypomniał o sobie: okazało się, że jestem w ciąży po tej jednej nocy na granicy! Już w Bukareszcie urodziłam syna Stanisława, z którym przeżyłam w Turcji kilka spokojnych lat...

Światło w pokoju gaśnie, a gdy znów się zapala, widzimy obok Salomei Aiszę.

A i s z a (*po długiej pauzie*). Nie wyjdę za mąż. Wszyscy mężczyźni na pewno są tacy jak twój Pilsztyn.

S a l o m e a (*z przekonaniem*). Nie wszyscy. Są tacy, jak twój Nedim.

Aisza. Ale Allah nie chciał, żebyśmy byli razem. Czeka mnie jakiś stary, brzydki poborca podatkowy z Adrianopola. Kismet.

S a l o m e a (*nie rozumie*). Kismet?

A i s z a. To znaczy: taki już mój los.

S a l o m e a. Zupełnie nie taki twój los. To nie Allah, lecz twój wuj Ali-aga nie chciał, żebyście byli razem. Nie martw się, moje serce czuje, że wszystko u was będzie dobrze.

A i s z a (*z powątpiewaniem*). Twoje serce nie podpowiedziało ci, jakim niebezpiecznym człowiekiem był Pilsztyn.

S a l o m e a. Moje serce nigdy nie czuło własnego niebezpieczeństwa, ale zawsze ratowało innych. Tobie też pomoże.

AKT DRUGI

Scena trzecia

Kilka dni później w pokoju Salomei. Gospodyni siedzi przy biurku i starannie wodzi piórem po papierze.

S a l o m e a (*głośno*). O tureckich zwyczajach i obyczajach... Turek nie może się ożenić, dopóki nie będzie miał w domu pościeli, naczyń kuchennych, misek, stołu, świec i innych drobnych przedmiotów, potrzebnych w gospodarstwie. Jeśli ma matkę, siostrę lub po prostu kuzynkę, wysyła je, żeby mu pannę czy wdowę wyswatały i tą, która spodoba się tym białogłowom, musi zadowolić się kawaler.

Słychać stukanie do drzwi.

S a l o m e a. Kto tam? Proszę wejść. (*Nie przerywa pisania*). A gdy już odbywa się wesele, wchodzi narzeczony do pokoju dziewczyny razem z imamem i innymi, i imam, to znaczy pleban, pyta: “Czy jest tu taka (na przykład Aisza)?”

Do pokoju wchodzi młody Turek i nieśmiało kaszle, by zwrócić na siebie uwagę gospodyni.

N e d i m. Niech Allah ma panią w opiece!

S a l o m e a (*podnosi głowę i patrzy na nieznanego gościa*). Słucham pana.

N e d i m. Powiedziano mi, że pani jest najlepszą okulistką w Stambule.

S a l o m e a. Miło, że słucha pan mądrych ludzi.

N e d i m (*wzdycha*). Bez mędrca i lekarza nie przeżyjesz.

S a l o m e a. Bołą pana oczy?

N e d i m (*śpiesznie*). Nie, przyszedłem prosić cię, pani, żebyś wyleczyła moją narzeczoną, Aiszę. Ona mieszka tu, w pani sąsiedztwie. (*Poruszony tym, że lekarka mieszka po sąsiedzku z Aiszą*). Prawdę powiadają, że gniazdo dla przelotnego ptaka wije Allah!

S a l o m e a (*ze zdziwieniem*). Narzeczony Aiszy?

N e d i m (*podaje Salomei woreczek z pieniędzmi*). Oto pieniądze.

S a l o m e a (*ironicznie*). Ile tu jest?

N e d i m (*z dumą*). Sto złotych monet.

S a l o m e a (*z uśmiechem*). Zazwyczaj za leczenie biorę dwukrotnie więcej.

N e d i m (*zakłopotany*). Nie mam więcej. To wszystko, co udało mi się zarobić. (*Z nadzieją*). Gdyby pani zgodziła się poczekać... Staram się o posadę w sułtańskiej bibliotece. Wezyr Ragyb-pasza zgodził się miłościewie przeczytać moje wiersze. Jeśli wiersze mu się spodobają...

S a l o m e a. Nazywa się pan Nedim?

N e d i m. Tak. Skąd pani zna moje imię? (*Prostodusznie*). Pani czytała moje wiersze?

S a l o m e a (*z uśmiechem*). Zdaje się, że Ragyb-pasza wspominał mi o panu.

N e d i m. O, wezyr Ragyb-pasza jest bardzo wykształconym człowiekiem, sam pisze wspaniałe wiersze i pomaga młodym poetom, muzykom...

S a l o m e a (*niecierpliwie*). Dawno wrócił pan z Egiptu?

N e d i m (*zmieszany*). Trzy dni temu. (*Z niepokojem*). Będzie pani leczyć Aiszę?

S a l o m e a. Pan specjalnie zbierał pieniądze na leczenie Aiszy?

N e d i m. Nie. Początkowo zbierałem na nasze wesele. Ale potem pomyślałem, że lepiej będzie jak odzyska wzrok.

Salomea. A nie pomyślał pan, że kiedy za te pieniądze wyleczę Aiszę, to jej wuj znajdzie dla niej innego, bardziej zamożnego narzeczonego?

N e d i m (*przestraszony*). Tak pani myśli? (*Wzdycha*). Gdzie dobry miód, tam wielu kupców. (*Zamyśla się*).

S a l o m e a (*po długiej pauzie*). Co to za wiersz o szczęśliwym mieście, którym zaczarował pan Aiszę?

N e d i m (*podnosi wzrok*). Pani wie o tym? Wiersz napisał czterdzieści lat temu Mahmed Nedim, nadworny poeta sułtana Ahmeda.

S a l o m e a (*nakazuje*). Niech pan recytuje, posłucham.

N e d i m (*zakłopotany*). Jeśli pani karze... (*Recytuje wiersz*):

Tajemną serca radość wywołują wonie sadu.
Pójdźmy, o wiotki mój cyprysie, do rajskiego Sadobadu.
Już łódka na nas czeka, wołając do eskapady.
Chodźmy, o wiotki mój cyprysie, do szczęśliwego Sadobadu.

Marzeń tu naszych blask ożyje: zobaczymy cudów kraj.
Jak z paszczy smoka życie bije, wód kaskady grają.
Kto takiej wody łyk wypije, wnet dozna co to raj.
Chodźmy, o wiotki mój cyprysie, do szczęśliwego Sadobadu.

Gdzie stawu ciche brzegi, pójdziemy spacerować,
I ujrzym pałac złoty, gdzie wiatr się może schować.

S a l o m e a (*przerywa*). Wystarczy. Takie miasto rzeczywiście istnieje?

N e d i m. Istniało. Sadobad został wybudowany niedaleko od Stambułu na rozkaz sultana Ahmeda. Było tam wiele pięknych parków, długich alej, małych stawów, na klombach rosły setki gatunków tulipanów. W czasie powstania janczarów Sadobad został zburzony, wtedy też zginął Mahmed Nedim.

S a l o m e a. Tak też myślałam. Po mieście szczęścia pozostały tylko ruiny. Fejzulo, zabierz swoje pieniądze i weź jeszcze to. (*Wyjmuje z szuflady stołu sakiewkę z pieniędzmi i podaje zmieszanemu Nedimowi*). Spróbuj znów oświadczyć się o rękę Aiszy. Myślę, że tym razem Ali-aga ci nie odmówi. A ja zajmę się chorymi oczami dziewczyny. Tylko niech to pozostanie w tajemnicy.

N e d i m. (*wzruszony*). Ale jak się pani odwdzięczę? Nie mogę wziąć tych pieniędzy!

S a l o m e a. To jest mój prezent na wasze wesele. A co się tyczy wdzięczności... Dobrze pamiętasz drogę do Egiptu?

N e d i m. Tak. Robiłem nawet notatki.

S a l o m e a. Potem mi powiesz, jak najlepiej dojechać do Jerozolimy.

N e d i m. Salomea-chanum chce odbyć pielgrzymkę do Jerozolimy? (*Z powagą*). Jest pani świętą kobietą.

S a l o m e a. A teraz idź, Nedim. Powiesz mi o rezultacie oświadczyn.

N e d i m. Allach wynagrodzi pani dobro! (*Odchodzi*).

S a l o m e a. “Świątą kobietą!” Tylko od Turka mogłam coś takiego usłyszeć. (*Nie wytrzymuje*). Ależ on jest podobny do Adonisa! (*Pochmurnieje*). Nie, wcale nie podobny. (*Siada przy stole i pochyla się nad swoimi zapiskami*). To znaczy, wchodzi imam i pyta: “Czy jest taka (na przykład Aisza)?” A przyjaciółka za nią odpowiada: “Jest”. “Czy przysięgasz temu (na przykład Fejzule) wiarę, miłość i uczciwość?” Teraz już sama panna młoda odpowiada: “Przysięgam aż do tego czasu, pokąd wola Pana Boga”. I tymi słowami przysięga się kończy... A gdy młodzi zostają sami, on zdejmuje z jej głowy czerwoną narzutkę i pierwszy raz ją widzi i całuje, a panna młoda nabija fajkę tytoniem i podaje swojemu mężowi na znak posłuszeństwa...

Z tajemnego przejścia w ścianie wychodzi Aisza, podchodzi do Salomei.

A i s z a (*smutnym głosem*). Dobry wieczór, Salomea-chanum. Co robisz? Znów piszesz o swojej przeszłości?

S a l o m e a. Nie, tym razem – o twojej przyszłości. (*Zamyka notatki i wstaje od stołu, aby objąć Aiszę*). Dlaczego jesteś taka smutna?

A i s z a. Przyśnił mi się zły sen. Widziałam tego niegodziwca, o którym mi opowiadałaś ostatnim razem. (*Poprawia się*). Wybacz, twego męża.

S a l o m e a. Lepiej niż śnić złe sny, zobaczyć dobrą jawę. Pokaż mi swoje oczy, dziewczyno. (*Zdejmuje opaskę z oczu Aiszy*). Doskonale. Oczy prawie nie ropieją. Będziemy nadal smarować je maścią z bratków i znów zobaczysz świat.

A i s z a. Salomea-chanum w to wierzy?

S a l o m e a. Jeżeli Bóg nam pomoże. Zaczekaj. (*Bierze z szafy maść i smaruje oczy Aiszy*).

A i s z a. A może Allah chce, żebyśmy pozostała niewidoma i sprzeciwiamy się jego woli?

S a l o m e a. Nie pleć głupstw. Choroby pochodzą od diabła.

A i s z a (*z uporem*). A kto powiedział, że nieszczęsnego Galpira, gdy zachorował na zarazę, pokarał Bóg?

S a l o m e a (*złości się*). To mnie skarże Bóg za to, że wszystko ci opowiadam. Masz zbyt dobrą pamięć i bogatą fantazję. (*Chowa maść do szafy*).

A i s z a (*dąsa się*). Zapomniałaś o naszej umowie? Ja pozwalam ci leczyć moje oczy, a ty opowiadasz mi o swoim życiu.

S a l o m e a (*podrywa się*). Oho, jaka dama, może mam ci jeszcze za to zapłacić?! (*Zastłania sobie usta dłonią*).

Aisza przestraszona chowa głowę w ramiona, potem zawiązuje sobie opaskę na oczy i w milczeniu idzie w stronę tajemnego przejścia.

S a l o m e a. Wybacz mi, Aiszo! (*Dogania Aiszę i siłą odwraca ją, twarzą do siebie*). Same wyrwały mi się te złe słowa. Zupełnie zapomniałam, że jeszcze jesteś bardzo młodą, wrażliwą dziewczynką. (*Obejmuje Aiszę*).

A i s z a (*przytula się do Salomei*). To ty mi przebacz, Salomeo-chanum. Odplącam ci się niewdzięcznością za twoje dobro.

S a l o m e a (*całuje Aiszę*). Jesteś wspaniałą dziewczyną, Aiszo.

A i s z a. Chciałabym, żebyś wiedziała, Salomeo-chanum... Bardzo cię kocham.

S a l o m e a. Ja ciebie też, Aiszo. Usiądź wygodnie, dokończę dziś opowiadanie historii mego życia. Boję się, że opowiadanie to nie przysporzy ci radości. A tak bardzo bym tego chciała...

Aisza siada wygodnie na krześle. Salomea zaczyna opowiadać.

S a l o m e a Podczas mojego drugiego pobytu w Turcji z sukcesem zajmowałam się leczeniem, miałam majątek, pieniądze i szacunek szlachetnych ludzi. I trzeba było dziękować Bogu i spokojnie żyć, ale na nieszczęście znów zachciało mi się wrócić do ojczyzny. (*Pokój znika w ciemności*). I czy to wola Boża, czy moja niedola, gdy tylko przyjechałam do Kamieńca Podolskiego,

spotkałam pewnego kawalera, którego imienia i nazwiska nie chcę wyjawiać, i zaczął on śpiewać mi o swojej wielkiej miłości. Śpiewać i grać na bandurze.

Pokój zostaje oświetlony, ale Aiszy już nie widać. Wchodzi szlachcic, zwany Adoniszem: młody, przystojny mężczyzna, ubrany zgodnie z najnowszą prowincjonalną modą, z bandurą w rękach.

A d o n i s. Witam panią w naszym sławnym mieście!

S a l o m e a. Dziękuję za gościnność, ale nie miałam przyjemności poznać pana.

A d o n i s. Jak że to! Widzieliśmy się przecież dzisiaj na placu miejskim.

S a l o m e a (zdziewiona). Na placu? (*Przypomina sobie*). Ach, przecież to pan stał w kałuży z dwiema przyjaciółkami na rękach, kiedy moja kolaska przejeżdżała przez plac.

A d o n i s (*ucieszony*). Aha, to ja! Z łaski pani zostaliśmy ochlapani błotem od stóp do głów.

S a l o m e a. A ja, z łaski pana, zostałam od stóp do głów obrzucona wyzwiskami.

A d o n i s. A potem pani wychyliła się z kolaski i w odpowiedzi zaczęła nas wyzywać! Z zachwytu aż wypuściłem z rąk moje przyjaciółki, prosto w kałużę. Gdzie się pani nauczyła takich wyzwisk?

S a l o m e a. W salonach Petersburga, panie Ciekawski.

A d o n i s (*przedstawia się*). Zważ mnie Adonis.

S a l o m e a. A mnie – Afrodyta.

A d o n i s. Wszyscy w mieście nazywają mnie Adoniszem. A pani nazywa się Salomea.

S a l o m e a. I czegoż pan, miejscowy Adonisie, chce ode mnie? Satysfakcji za ochlapane ubranie i urażony honor przyjaciółek? W takim razie wybieram pistolety.

A d o n i s. Pani lekarka żartuje.

S a l o m e a. Ach, zdążył się pan też dowiedzieć, że jestem lekarką? Może, trzymając dwie damy na rękach pan się nadwerężył i przyszedł do mnie się leczyć?

A d o n i s. Pani Salomea drwi ze mnie. A ja, gdy tylko panią zobaczyłem w kolasce, od razu się w pani zakochałem. I przyszedłem zaprosić panią Salomeę na bal.

S a l o m e a. Mnie – na bal? (*Śmieje się*). Ależ zwyczajnie panują w waszym Kamieńcu! A czy pan wie, panie Adonisie, że jestem dwukrotną wdową i trzykrotną matką?

A d o n i s. Pani znów żartuje. (*Z niedowierzaniem ogląda Salomeę od stóp do głów*). A jeśli nawet pani jest wdową, to co z tego? Pójdzie pani ze mną na bal?

S a l o m e a. Nie. Nie żartuję i na żaden bal z panem nie pójdę. Jestem poczciwą białogłową, zmęczyłam się w podróży i nie chcę zakończyć swego życia w jakiejś kamienieckiej kałuży.

A d o n i s (*nieśmiało*). To może pani Salomea pozwoliłaby mi również nie iść na bal, tylko zostać i zaśpiewać dla pani?

S a l o m e a (zmieszana). Zaśpiewać? (*Próbuje żartować, ale młody szlachcic wyraźnie ją zaintrygował*). To pan nie jest Adoniszem, tylko Orfeuszem?

A d o n i s. Śpiewam i gram na bandurze. Rodzice mówią wprawdzie, że to niezbyt szlachetne zajęcie. (*Gra na bandurze i śpiewa cichym, miłym głosem*):

Serce moje gorące, chociaż los nas rozłączy.

Bez żadnego żalu chcę cię kochać dalej.

Będę z wielką mocą zawsze kochać ciebie

I wszystkim na przekór, dopóki żyć będę.

Choć pójdziesz za góry, popłyniesz za morza,

Za tobą dziewczyno, za morza popłynę.

Młody szlachcic kończy śpiewać i dalej gra sobie cichutko na bandurze. Salomea, na której śpiew Adonisa robi wrażenie, wychodzi na środek pokoju.

S a l o m e a. Czy można wierzyć w miłość mężczyzny, który stał w kałuży z dwiema damami na rękach? Oczywiście – nie. (*Beznadziejnie*). I, oczywiście, uwierzyłam.

A d o n i s (*wzdycha*). Jak żyję, tak żadnej damy, ani żadnej wdowy nie kochałem.

S a l o m e a. Uwierzyłam w tę naiwną bajeczkę. Ja, poważna, rozsądna kobieta, lekarka, matka trojga dzieci, pozwoliłam sobie na to, by zakochać się w człowieku, który ma przydomek zamiast imienia! Dlaczego? Na pewno dlatego, że w wieku trzydziestu lat również nikogo jeszcze nie kochałam i nikt nie kochał mnie. A do tego on tak wzruszająco śpiewał, tak pięknie grał na bandurze.

A d o n i s (*śpiewa*):

Pani moja z wami,

Z błękitnymi oczętami,

Co mi spać nie daje

Żar sercu zadaje!

Dziewczątko najśłodsze,
 Bądź dla mnie łaskawsze.
 Kochaj mnie dziewczyno,
 Radości przyczyno.

S a l o m e a. Mieszkając w Kamieńcu, szybko dowiedziałam się, że mój nowy adorator cieszy się sławą pijaka, kobieciarza i łotra. Ale i on sam przede mną tego nie krył.

A d o n i s. Salomeo, żebyś tylko wiedziała, jakie lekkomyślne i marnotrawne życie wiodłem, zanim cię spotkałem! Lecz miłość odmieniła mnie. Zrobiłaś ze mnie człowieka.

S a l o m e a. Żal mi go było i nie chciałam wracać do przeszłości. Zaczęłam się o niego troszczyć: kupować kontusze, żupany i pasy, dawać pieniądze. A potem zaczęłam myśleć, jak naprawdę zrobić z niego człowieka, żeby nie wisiał u mojej szyi, tylko stał na własnych nogach. (*Do Adonisa*). Posłuchaj, mój kochany, trzeba ci znaleźć jakieś zajęcie.

A d o n i s. I ja o tym myślę przez cały czas. Tylko jakie?

S a l o m e a. Możesz wstąpić na służbę do wojska.

A d o n i s. A jeśli nagle wybuchnie wojna z Turcją i zabiją mnie?

S a l o m e a. Można kupić ci kawałek ziemi, woły, krowy i owce, wynajmiesz chłopów i zaczniesz gospodarzyć.

A d o n i s. A jeśli nagle te woły, krowy i owce zdechną? I jakież ze mnie gospodarz?

S a l o m e a. To zajmij się handlem. Dam ci pieniądze, pojedziesz na kiermasz do Chocimia, kupisz różnych łakoci, daktyli, rodzynek, ryżu, zawieziesz do Lwowa i sprzedasz z zyskiem.

A d o n i s. Co ja jestem Żyd jakiś? Jestem polskim szlachcicem!

S a l o m e a. W takim razie widzę dla ciebie tylko jedno zajęcie: wisieć u mojej szyi i grać na bandurze!

A d o n i s (*przestaje grać*). Dobrze, Salomeo, nie denerwuj się. Daj pieniądze, pojedę do Chocimia po daktyle.

Salomea podchodzi do stołu, wyjmuje z szuflady pieniądze i daje Adonisowi. Szlachcic waży sakiewkę z pieniędzmi w rękach i wychodzi z pokoju nucąc wesołą piosenkę. Po chwili nieoczekiwanie wraca.

A d o n i s (*bierze bandurę*). Nie smuć się beze mnie, kochana. Szybko wrócę. (*Znika za drzwiami*).

S a l o m e a. To jego “szybko” rozciągnęło się do kilku tygodni. Już i kiermasz w Chocimiu się skończył, a mój miły wciąż nie wracał. Przekazywał

tylko listy i słodkie słowa o miłości i sercowych cierpieniach. Najciekawszy okazał się ostatni list.

Słysząc stukanie do drzwi. Salomea wychodzi z pokoju i wraca z listem w rękach.

S a l o m e a. Przyszedł jakiś pijany szlachcic, przedstawił się jako Sebastian Zawadzki i przekazał mi list od Adonisa. Do domu nie wszedł, powiedział, że musi przekazać komuś jeszcze jeden list i śpiesząc się odjechał do Kijowa. Zaczęłam czytać ten list. (*Otwiera list*). “Moja Kochana Maryśko!” Hm. Słoneczko moje, pragnę cię ucieszyć. Wracam już do Kamieńca i od razu przybiegnę do ciebie ze słodkimi słówkami, pieszczotliwymi pocałunkami i drogimi prezentami. Zabawimy ze sobą, Duszko moja, kilka szczęśliwych dni, a swojej lekarce powiem, że przyjechałem później. Dlatego bądź w domu, Jaskółeczko moja, nikogo nie przyjmuj i czekaj na mnie. Twój dowcipniś, Adonis.” Maryśka... Maryśka... (Chodzi po pokoju). To znana w całym mieście prostytutka. Proszę, na kogo trwonione są moje pieniądze! (Zatrzymuje się i zaczyna się głośno śmiać). Salomeo, Salomeo, kiedyż ty wreszcie nabierzesz rozumu?...

Do pokoju nieśmiało wchodzi pan Adonis, wygląda jak zбитy pies.

S a l o m e a. Po tygodniu pojawił się i sam pan dowcipniś. (*Do Adonisa*). Witam pana w naszym sławnym mieście!

A d o n i s (*wyjmuje zza pazuchy niewielki pakunek*). Proszę. (*Podaje Salomei*). To dla ciebie.

S a l o m e a. Co to?

A d o n i s. Daktyle.

S a l o m e a. A gdzie pozostałe trzy wozy?

A d o n i s. Po drodze z Chocimia napadli na mnie zbójcy i wszystko zabrali. Okazuje się, że handel jest bardzo niebezpieczny. Lepiej byłoby, gdybym poszedł na służbę do wojska.

S a l o m e a. Napadli zbójcy, zjedli trzy wozy daktyli i rodzynek, a potem podrapali kupcowi twarz paznokciami? Tak?

A d o n i s (*zastłania dłoń podrapany policzek*). Pobili.

S a l o m e a. A herszt zbójców nazywał się Maryśka?

A d o n i s (*ponuro*). Ten pijak Zawadzki pomylił listy. List do Maryśki oddał tobie, a list do ciebie zaniósł do Maryśki.

S a l o m e a. I z tego powodu szlachetna pani Maryśka podrapała tobie gębę?

A d o n i s. Tam było tyle serdecznych słów do ciebie, Salomeo. Dlatego się wściekła...

S a l o m e a. Nie jestem Maryską, bić cię nie będę. Ale zabieraj swoje rzeczy, które ci podarowałam i idź do diabła! Z powrotem do swojej kałuży! Żeby moje oczy więcej cię nie widziały!

A d o n i s (*klęka przed Salomeą*). Daruj mi, Salomeo! Przypomnij sobie, kim byłem zanim cię poznałem, jakie wiodłem życie! Ciebie pierwszą naprawdę pokochałem, mówię szczerze! Ale czy myślisz, że łatwo tak od razu się zmienić, zmyć z siebie brud? Może, gdybyś zgodziła się zostać moją żoną, wszystko poszłoby szybciej? Ludzie cię szanują, szanowaliby i mnie, sam siebie bym szanował.

S a l o m e a. Nigdy w życiu nie zostanę twoją żoną! Ludzie już i tak śmieją się ze mnie, że ja, rozsądna i pocziwa białogłowa, związałam się z takim szaloputem i hulaką! Idź precz ode mnie ze swoją fałszywą miłością!

A d o n i s. Salomeo, bój się Boga! Przypomnij sobie, on wybaczał grzesznikom. Jesteś czystsza od niego? Boisz się, że się ode mnie ubrudzisz? Bez ciebie przepadnę. Daj mi ostatnią szansę! (*Szlocha*).

S a l o m e a (*wzdycha*). Nie jestem czystsza od Boga. Ileż to razy dobry Bóg wybaczał mi moje grzechy i winy, czy mam więc prawo nie wybaczyć bliźniemu? (*Do Adonisa*). Dobrze, nieszczęście ty moje, dam ci jeszcze jedną szansę.

A d o n i s (*uradowany*). Znów pojedę do Chocimia po daktyle?

S a l o m e a. Nie, to ja pojedę. Pojedę do Lwowa do mojej córki Konstancji. Wybiera się do klasztoru, a ja myślę, że nadszedł czas iść jej za męż. Z tobą zostawię dom, majątek i moich synów. Zaopiekujesz się nimi.

A d o n i s. Salomeo, żartujesz? Nigdy nie miałem nawet stu złotych w rękach. A teraz dom, majątek. Do tego jeszcze dzieci. Powierzysz mi to wszystko?

S a l o m e a. Dzieci będzie doglądać pokojówka. A ty zostaniesz jako gospodarz. I... zobaczymy, jakim jesteś gospodarzem i człowiekiem. Żegnaj! (*Wychodzi z pokoju*).

A d o n i s (*woła za nią*). Dziękuję, Salomeo. Udowodnię ci! Zobacysz, udowodnię ci, Salomeo! (*Bierze do ręki bandurę, gra i śpiewa dziarskim głosem*):

--Oj przestań, mój najmilszy, do mnie wciąż zachodzić

i mnie, taką młodą, nadaremnie zwodzić.

--Jakże ja mam przestać, kiedy Kocham Ciebie

O ty najmilsza, wpuśćże mnie do siebie!

Do pokoju wchodzi Salomea w narzuconym na ramiona podróżnym płaszczu.

S a l o m e a (*smutno*). Nie było mnie w domu przez miesiąc. Okazało się, że moja Konstancja wybierała się do klasztoru z powodu nieszczęśliwej miłości. Ale w wyniku moich starań ta nieszczęśliwa miłość wkrótce zmieniła się w szczęśliwą i urządziłam mojej córce wesele z młodym panem Ostrowskim. Adonis tymczasem siedział w moim domu, popijał wino, grał na bandurze i doglądał, jak pokojówka Magda radzi sobie z dziećmi. I wkrótce razem już pili wino i śpiewali, a potem – nie tylko pili i nie tylko śpiewali... Młodszy chłopczyk, Stanisław, im nie przeszkadzał w pieszczotach, bo niczego nie rozumiał, a starszego, Franciszka, postanowili zamykać w piwnicy, żeby niczego nie widział i nie opowiedział potem matce. (Drżącym głosem). Leżał tam na gołej ziemi, zachorował i umarł, mój nieszczęsny chłopczyk. Przestraszona Magda od razu uciekła z domu, zaczął zbierać się także Adonis, wynosząc do kolaski wszystkie cenne rzeczy. Od przypadkowych ludzi dowiedziałam się o śmierci syna...

A d o n i s (*gra na bandurze i śpiewa żalonym głosem*):

i teraz w beznadziei, w wielkim żalu,
zostawić muszę najmilejszą, jak kalinę w gaju.
a teraz w beznadziei, w smutku dookoła,
zostawić muszę moją miłą, jak gołąbkę gołąb.

Salomea zbliża się do Adonisa.

A d o n i s (*zauważa Salomeę*). Salomeo! Oczekiwałem cię dopiero w przyszłym tygodniu. Dobrze, że przyjechałaś wcześniej! (*Wzdycha*). Tutaj takie nieszczęście...

S a l o m e a (*nie słucha Adonisa*). Bóg przebaczy, Bóg wszystko przebaczy, przebiegły błaznie! Ale ja – nie przebaczę! Wynoś się do swego miłościwego Boga, sukinsynu! (*Wyjmuje spod płaszcza pistolet i celuje w Adonisa*).

A d o n i s. Salomeo! Jestem niewinny! Nie żartuj w ten sposób, Salomeo!

Salomea strzela. Adonis pada. Salomea osuwa się na podłogę obok ciała zabitego kochanka.

S a l o m e a. Ot i wszystko. Skończyły się już w moim życiu wyznania, miłości, rozczarowania. I życie się skończyło. Wybacz mi, Najświętsza Panienko.

Ogłuszony Adonis ożywa i na czworaka wyczołguje się z pokoju.

S a l o m e a (*zauważa wymykającego się Adonisa*). Żyje, drań. (*Uśmiecha się ze smutkiem*). To znaczy, że miłości zabić nie można. Nie mogłam z takiej odległości nie trafić.

Pokój pogrąża się w ciemności, a gdy zapala się światło, widzimy Aiszę obok Salomei. Salomea milczy, jak gdyby jeszcze raz przeżywała tę tragedię, która kiedyś ją spotkała. Aisza również milczy, ale w końcu nie wytrzymuje i zaczyna płakać.

Łzy Aiszy sprowadzają Salomeę do realnego świata.

S a l o m e a. Mówiłam przecież, że moje opowiadanie nie przysporzy ci radości. Nie płacz, Aiszo, to smutne, ale prawdziwa miłość – to rzecz niebezpieczna.

A i s z a (*szlocha*). Pamiętasz, Salomeo-chanum, uprzedzałam cię, że ten dom jest stary i w każdej chwili może się zawalić? A ty zapytałaś, czy nie dlatego lubię tu przychodzić? A więc, to prawda.

S a l o m e a. Co jest prawdą?

A i s z a. Przychodziłam tu, siadałam na podłodze i cierpliwie czekałam, kiedy dom się zawali. Potem poznałam ciebie i przestałam o tym myśleć. Ale teraz... (*Z zapalem*). Chodź, będziemy czekać razem, Salomeo-chanum!

S a l o m e a (*gładzi Aiszę po głowie*). Dobrze. Ale nie na to, aż zawali się dom. Będziemy czekać na twoje wesele z Nedimem.

A i s z a (*dąsa się*). Nedim jest takim samym kłamcą jak twój Adonis. Dobrze, że wyjechał do Egiptu. Nie kocham go!

S a l o m e a (obojętnym głosem). A propos, słyszałam, że wrócił.

A i s z a (*poruszona*). Naprawdę?! Kto ci powiedział? (*Potrząsa Salomeę za rękę*). Gdzie go widziano?

S a l o m e a. Oho, jaka niecierpliwa! A mówiłaś: nie kocham, chodź będziemy czekać aż dom się zawali... Nedim zarobił w Egipcie trochę pieniędzy, napisał mnóstwo wierszy o miłości do pewnej Aiszy i dał je wezyrowi, bo ubiega się o posadę w bibliotece sultańskiej. (*Na stronie*). Nie wiem, jakie są te wiersze, ale akurat lecę z migreny żonę wezyra, dlatego myślę, że otrzyma tę posadę. (*Głośno*). Tak więc czekaj wkrótce na swatów, Aiszo.

A i s z a. Czy popłynie woda tam, gdzie płynęła wcześniej? Może Nedim o mnie zapomniał?

S a l o m e a. A wiersze? Nie, Aiszo, przestań wątpić! A propos, dowiedziałam się, że szczęśliwe miasto rzeczywiście istniało, całkiem niedaleko od Stambułu. (*Z żalem*). Ale zostały po nim tylko ruiny...

A i s z a. Chciałabym zobaczyć chociaż ruiny...

S a l o m e a (*uradowana*). No, jeśli już coś chciałabyś z o b a c z y ć, to szybko wyzdrowiejesz.

A i s z a. Ach, Salomeo-chanum, jestem taka szczęśliwa! Dziękuję Allahowi, że ciebie spotkałam!

Salomea i Aisza obejmując się stoją na środku pokoju.

Scena czwarta

W pokoju Salomei jest pusto. W szafach nie ma już lekarstw i przyrządów medycznych, z biurka zniknęły książki, nie ma też gospodyni. Tylko kufer z ubraniami stoi na swoim zwykłym miejscu. Przez tajemne przejście wchodzi radosna Aisza.

A i s z a. Wychodzę za mąż, Salomeo-chanum! (*Wsluchuje się w ciszę pustego pokoju*). Nie ma nikogo?... (*Wdrapuje się na kufer*). Dziś, jak nigdy, chciałabym cię zobaczyć, Salomeo, podzielić się moją radością. I jeszcze chciałabym zobaczyć niebo, słońce, Nedima. Koniecznie muszę się wyleczyć. Jak inaczej będę zajmować się moim domem, dziećmi, jak zdołam dogodzić mojemu kochanemu mężowi?.. (*Kładzie się na kufer i marzy, aż zasypia*).

Pojawia się Jakub Galpir. Trzyma w rękach niewielki móździerz.

G a l p i r. Aiszo, dlaczego nie przygotowałaś proszku przeciwko zaparciom?

Przestraszona Aisza zrywa się z kufra.

G a l p i r. Mein Gott, co za żonę mi dałeś! Pacjent czeka na miksturę, a ona śpi! Bierz się do roboty, łajdaczko!

Galpir daje Aiszy móździerz. Zaszokowana Aisza nie może wypowiedzieć ani słowa, pokornie bierze móździerz i zaczyna starannie tłuc proszek. Galpir nerwowo chodzi po pokoju. Pojawia się Józef Pilsztyn. Jest bosy. Zaczyna szukać swoich butów.

P i l s z t y n. Aiszo, gdzie są moje buty? (*Znajduje buty za kufrem i ogląda je z niesmakiem.*) Dlaczego są brudne? (*Groźnie*). Diabelska dziewczka, ja cię zmuszę do wypełniania obowiązków!

Aisza odkłada na stół moździerz i biegnie do Pilsztyna. Czyści buty rękawem sukni.

P i l s z t y n. Tyko żeby błyszczały! Nie zapominaj, że twój mąż jest chorążyem austriackiej armii!

Pojawia się Adonis z bandurą w rękach. Siada przy stoliku do gry i stroi bandurę.

A d o n i s. Aiszo, nalej mi wina! Szybciutko. Umieram z pragnienia.

Aisza rzuca buty Pilsztyna i biegnie nalać wina Adonisowi. Ze strachu zapomina, że jest niewidoma i robi wszystko tak, jakby widziała.

A d o n i s (*wypija kubek wina i zaczyna śpiewać nieładnym głosem*):

P i l s z t y n. Aiszo, buty! Długo będę czekać? Cholera jasna!

Aisza szybko zabiera się znowu za czyszczenie butów.

P i l s z t y n (*rozkazuje*). Wkładaj!

Aisza z trudem wkłada Pilsztynowi jeden but.

G a l p i r (*spostrzega pozostawiony na stole moździerz*). Jeszcze nie gotowe?! Teufel! Wiesz, dla kogo jest ta mikstura? Dla samego sułtana! Jego Wysokość już czwarty dzień nie siada na nocnik!

Aisza biegnie do moździerza, ale w tym momencie odrywa się od bandury Adonis.

A d o n i s. Aiszo, jeszcze wina!

Aisza biegnie do Adonisa i nalewa mu wina do kubka.

A d o n i s. Pocałuj mnie, Jaskółeczko moja!

Aisza posłusznie całuje Adonisa w lewy policzek.

A d o n i s. Za naszą miłość! (*Wypija wino i nastawia prawy policzek*). Jeszcze tylko raz!

P i l s z t y n (*krzyczy*). Jak pójdę na wojnę w jednym bucie?!

G a l p i r (*w rozpacz*). O mein Gott, obetną nam głowy!

Wyczerpana Aisza nie wie czyje polecenie ma wykonać i stoi nieruchomo obok Adonisa.

P i l s z t y n (*oburzony*). Nie może sobie poradzić z trzema mężami!

G a l p i r (*zjadliwie*). A zamierza czwartego sobie sprawić!

A d o n i s (*pieszczotliwie*). Nie słuchaj ich. (*Wstaje od stolika*). Chodźmy lepiej się kochać. (*Zaczyna powoli rozbierać Aiszę.*)

P i l s z t y n. Chwileczkę, żądam swojego udziału! (*Skacze w jednym bucie w stronę Aiszy i Adonisa.*)

G a l p i r. Ja mam pierwszeństwo! (*Przyląca się do pozostałych*)

A i s z a (*budzi się*). Nie! Nie! (*Zrywa z oczu opaskę i wyrzywa się z kręgu natrętnych zjaw.*)

Do pokoju wchodzi Salomea, zza jej pleców nieśmiało wygląda Nedim, przebrany w strój woźnicy. Zjawy szybko siadają przy stoliku i zaczynają grać w kości, jak gdyby nic się nie stało.

S a l o m e a. Co z tobą, dziewczyno? Dlaczego krzyczałaś?

A i s z a (*rzuca się w stronę Salomei*). Oni wszyscy... Stary lekarz, austriacki chorąży i ten z bandurą... niby, że jestem ich... O, Allachu! Oni chcieli... nie, nie... (*Płacze i wyciera dłonią oczy.*)

S a l o m e a. Aiszo, spójrz na mnie.

A i s z a. Salomea-chanum!

S a l o m e a. Ty widzisz, Aiszo.

Aisza dopiero teraz rozumie, że naprawdę widzi Salomeę. Ze zdziwieniem rozgląda się wokół i zauważa Nedima.

A i s z a (*jeszcze bardziej zaszokowana*). Kto to?

Nedim ze wzruszenia nie może wypowiedzieć słowa.

S a l o m e a. Co stoisz jak słup, chłopcze? Powiedz coś.

N e d i m (*śpiesznie*). To ja, twój narzeczony. (*Zacina się.*) Twój przyszły mąż.

A i s z a. Nedim!

N e d i m (*wzruszony*). O, moja radości! Twoje jasne oczy znowu otworzyły się na spotkanie świata! (*Do Salomei.*) Pani Salomeo, jestem poetą, ale nie mogę znaleźć słów, aby wyrazić moją... Niech Allah wynagrodzi pani dobro.

S a l o m e a (*rozczulona*). Wasz Allah nie ma nic więcej do roboty niż wynagradzanie cudzoziemek, chrześcijanek.

A i s z a (*szeptem do Salomei*). Salomeo-chanum, dlaczego Nedim jest tak ubrany? Z mojego powodu musi pracować jako woźnica?

S a l o m e a. Coś ty, moja droga, on teraz pracuje w sułtańskiej bibliotece. Lecz dzisiaj musiał zostać moim woźnicą. (*Cicho.*) A ty – moją służącą. Przebieraj się. (*Podaje Aiszy ubranie.*)

A i s z a (*zdziwiona*). Po co, Salomeo-chanum?

S a l o m e a. Niestety, nie mogę być na waszym weselu, moje dzieci. Jutro wyjeżdżam do Ziemi Świętej. Ale dziś czeka nas podróż do miasta szczęścia. (*Z udawaną wyniosłością.*) Zamożna cudzoziemka kolaską z woźnicą w towarzystwie swojej służącej zamierza obejrzeć ruiny Sadobadu.

A i s z . A mój wuj?

S a l o m e a. Umówiłam się z nim, że będę cię leczyć, niby za pieniądze Nedima i dlatego muszę pokazać cię swoim kolegom. Twój wuj ucieszył się, że wreszcie pozbędzie się chorej kuzynki. (*Pomaga Aiszy włożyć ubranie.*) Możemy jechać. (*Bierze Aiszę pod rękę i kieruje się w stronę drzwi.*) Chodźmy, mój delikatny cyprysie, do szczęśliwego miasta Sadobadu. (*Uśmiecha się.*)

N e d i m (*podchwytuje i deklamuje dalej*):

Matkę twą poproszę o zgodę na piątkową namaz.
I tak przed losem uciekniemy w ten nakazany czas.
Ta ścieżka nieprzetarta nad przystań prosto wiedzie nas,
Chodźmy, o wiotki mój cyprysie, do szczęśliwego Sadobadu.

Młodziutki wioślarz pieśnią swą odwagi chce nam dodać.
Przyjaciół rzucić pragnę więc i skarby wszystkie oddać.
A za twą zgodę szczerą zawsze będę cię kochać.
Pójdźmy, o wiotki mój cyprysie do szczęśliwego Sadobadu.

Gdy Nedim recytuje wiersz, Adonis zaczyna akompaniować mu na bandurze. Aisza gwałtownie zatrzymuje się i ogląda się w stronę zjaw.

S a l o m e a. Dlaczego się zatrzymałaś?

A i s z a. Przypomniałam sobie mój straszny sen... Jak to dobrze, że obudziliście mnie. (*Wychodzi z pokoju, a za nią Nedim.*)

S a l o m e a (*na progu odwraca się i mówi do zjaw*). No, panowie, tego już za wiele! Żegnajcie na zawsze!

Salomea zdecydowanie wychodzi z pokoju. Zaniepokojeni panowie przerywają grę.

P i l s z t y n. Protestuję! Oficjalnie nie jesteśmy rozwiedzeni. Musisz wziąć mnie ze sobą, Salomeo.

G a l p i r. Kto nauczył cię medycyny, meine Mädchen? Nie chcę zostawać w tym strasznym mieście!

A d o n i s. Salomeo, dokąd jedziesz beze mnie, twego szczęścia?

Słysząc jakiś trzask, potem powietrze przeszywa straszliwy huk. Stary dom wali się, pochłaniając zjawy...

G ł o s S a l o m e i. Gdy wróciliśmy z wycieczki, zobaczyliśmy, że stary dom się zawalił. Odprowadziłam do domu Aiszę, pożegnałam się z Nedimem i z lekkim sercem odpłynęłam na statku do Świętego Miasta. Nigdy więcej w życiu nie spotkałam tej zakochanej pary, ale często wspominałam ich w modlitwach do Pana Boga. Ciekawe, czy wspominali oni w modlitwach do swego Allacha wędrowną lekarzkę z dalekiego północnego kraju, która pokazała im drogę do szczęśliwego miasta?..

Kurtyna